

TOMASZ BIEDRZYCKI

ŚMIERTELNE PRZEZNACZENIE



ŚMIERTELNE PRZEZNACZENIE

Tomasz Biedrzycki

PUBLISHED BY TOMASZ BIEDRZYCKI AT SMASHWORDS

Copyright © by Tomasz Biedrzycki, Jelenia Góra 2012

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez zgody autora.

All rights reserved

Okładka

Tomme Vasque

Korekta

Agnieszka Koprowska

SMASHWORDS EDITION, LICENSE NOTES

This book is licensed for your personal enjoyment only. This ebook may not be re-sold or given away to other people. If you would like to share this book with another person, please purchase an additional copy for each recipient. If you are reading this book and did not purchase it, or was not purchased for you use only, then please return to Smashwords.com and purchase your own copy. Thank you for respecting the hard work of this author

www.tomaszbiedrzycki.pl

PROLOG

Rzadką atmosferą Marsa targnął potężny grzmot. Narastał z każdą chwilą. W oddali ukazała się ognista kula mknąca wysoko, niemal na granicy kosmosu. Ciągnęła za sobą warkocz czarnego dymu, przesłaniając drogę swemu towarzyszowi. Ciemny ślad w atmosferze zaczął rzednąć w miarę jak obiekty wznosiły się coraz wyżej, opuszczając rzadką otoczkę gazową Marsa. Matowa powierzchnia obu obiektów nie odbijała odległego światła słonecznego. Od pierwszego z nich, powoli oderwał się puklerz osłony aerodynamicznej. Wyłoniła się spod niego kanciasta konstrukcja okrętu bojowego. Ledwie dostrzegalne oznaczenia jednoznacznie wskazywały na przynależność dwukadłubowego pojazdu do Chińskiej Republiki Ludowej.

W przestrzeni pojawiły się strumienie azotu wyrzucane przez silniki manewrowe. Pojazd w powoli obrócił się wokół własnej osi. Z cienia rzucanego przez wysokie ściany obu kadłubów wyłoniła się łącząca je kratownica. Sześć silosów zamontowanych w centralnej części powoli uchyliło owalne klapy. W powstałych otworach szczyrzyły się czarne główce pocisków „Mały Marsz”. W dole, wokół opadających wciąż osłon aerodynamicznych pojawiły się płomienie, gdy Mars łączywie pożerał obie tarcze. Gdzieś w oddali, na horyzoncie wyznaczanym przez łososiową linię marsjańskiej atmosfery, pojawił się rąbek szarego, nieregularnego kształtu Fobosa. Drugi pojazd otaczając się woalem szybko rozpraszającego się azotu obrócił się frontem do ledwie widocznego, niewielkiego księżycy. Stamtąd można było się spodziewać jedynego zagrożenia na orbicie. Pod oboma pojazdami widniał najwyższy szczyt w Układzie Słonecznym, wulkan tarczowy Olympus Mons.

Szeroki szczyt, zwieńczony rzadką powłoką chmur powoli zostawał z tyłu. Pierwszy pojazd obniżył nagle lot o kilkaset metrów, pchnięty napędem głównym – dwoma strugami rozgrzanego do tysiąca stopni wodoru. Przez obszar na którym się znajdował przed chwilą, przemknęło kilkaset wolframowych igieł uformowanych w koło, „przywitanie” z dział magnetycznych marsjańskiej kolonii na Fobosie. Kilka z nich trafiło w drugi pojazd, wybijając dziury w poszyciu kadłuba. Z powstałych otworów bluznęły strugi tlenu, rozpraszając się w próżni orbitalnej. Systemy awaryjne pojazdu zadziałały niemal natychmiast odcinając uszkodzone instalacje. Czas się kończył i dowódca chińskiego zespołu doskonale o tym wiedział. Rozstawione na podobieństwo gigantycznych igieł jeżozwierz anteny pojazdu odbierały echo kolejnej nadlatującej salwy. Jednocześnie w otworach silosów zabłyśły płomienie silników startowych. Dwie długie rakiety manewrujące wysunęły się z przepastnych czeluści pierwszego niszczyciela. Z milczących dotąd dysz pocisków lunęły strugi ognia. „Małe Marsze” ruszyły w stronę Ophir Chasma, która właśnie wyłaniała się poniżej zza horyzontu. Wokół tępych głowic rakiet zaczęły się odrywać pojedyncze strugi powietrza. Ogromny pęd stworzył poduszkę plazmy stopniowo ogarniającą oba pociski. W pewnym momencie jeden z oślepiająco świecących punktów, oznaczających głowicę rozjarzył się nieziemsko białym światłem. Osłona ablacyjna „Małego marszu” nie wytrzymała i jej zawartość wyparowała w błysku ognia. Woal plazmy wokół ocalałej głowicy zaczął znikać. Poniżej, pośród niskich wzgórz pojawiły się niskie zabudowania największej na Marsie rafinerii deuteru. Widać było pojedynczą sylwetkę, która właśnie pojawiła się przy jednym z srebrnych, owalnych budynków. Dostrzegłszy gorejący punkt na czystym niebie, odwróciła się w jego stronę. W tym momencie zadziałał zapalnik głowicy i okolicę rozjaśnił dwudziestokilotonowy wybuch atomowy. Ognista kula błyskawicznie ogarnęła najbliższy z budynków, wywołując reakcję deuteru. Pracownicy w odległym o przeszło tysiąc kilometrów obserwatorium na Arsia Mons zarejestrowali z prerażeniem termojądrową apokalipsę w miejscu, gdzie znajdowała się rafineria.

KOLONIA

Potężny wiatr unoszący tumany czerwonego pyłu hulał pomiędzy pustynnymi, marsjańskimi wzgórzami. Burza powoli cichła, pozostawiając suche drobinny zawieszony w powietrzu. Opadały niczym całun, okrywając okolicę i podłużny szeroki kształt betonowego hangaru. Jego porowata powierzchnia, przykryta wszędobyłskimi drobinami, przetrwała niejedną zawieruchę. Frontową ścianę, niemal w całości zajmowały szerokie, metalowe wrota.

W jednym z przeszklonych otworów kontrolnych ciągnących się pasem wzdłuż całych wrót pojawiła się okrągła twarz mężczyzny. Z zaciekawieniem obserwował warunki zewnętrzne. Po dłuższej chwili westchnął i obrócił się do wnętrza ogromnej hali. Ubrany był w szary, workowaty kombinezon. Z plakietki na piersi, częściowo nieczytelnej i wymiętej dało się odcyfrować jedynie nazwisko „Larousse”. Mężczyzna miał dobroniuszną twarz, spokojne ruchy. Przypominał swym wyglądem dobroniusznego karnodzieję. Teraz też westchnął głęboko, zabawnie wydymając usta. Zlustrował wzrokiem jedną z maszyn, stojących tuż przy wyjściu. Przedmiot jego utrapień od przeszło pół roku. Wydawała się niewielka na tle wysokiej śluzy wyjściowej, ale nie można się było dać zwieść. Opancerzony kokpit pomiędzy osłonami turbin gazowych, podparty na

szerokich goleniach połyskujących odsłoniętymi siłownikami hydraulicznymi wznosił się niemal na pięć metrów w górę. Przy jednym z nich klęczała wysoka, szczupła postać, z zapalem demontując jeden z podzespołów. Larousse podszedł bliżej. Odgłos jego kroków odbił się echem po odległych ścianach hangaru. Postać przy maszynie nie odwracając się zapytała kobiecym głosem.

- I jak pogoda? Będzie można wreszcie ruszyć nasze maleństwo, czy dalej kilka ziaren pyłu będzie straszyć naszego drogiego dyrektora? – ostatnie słowa sączyły jad sarkazmu. Mężczyzna przystanął na wyciągnięcie ręki od potężnej nogi maszyny, kiwając potakująco głową. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się, starannie miarkując słowa.

- Zdecydowanie przejaśnia się – powiódł wzrokiem w górę. Tylko najwyższa na całym Marsie kobieta mogła nazwać mechanicznego potwora „maleństwem”. Dla niego wyglądał raczej jak przerośnięty, stalowy dinozaur.

- Zatem doczekałaś się hasania na tych szczudłach. – Na dźwięk słów mężczyzny, wypowiedzianych jowialnym tonem, odwróciła się, rozchylając szerokie usta w uśmiechu. Nie była szczególnie piękna, ale przez miesiące pracy zżyli się tak bardzo, że znał każdą rysę na tej twarzy. Ciężka, wielogodzinna praca nad projektem połączyła ich szczególną nicią porozumienia. Nie mógł się domyśleć jak Alice, ale wiedział co czuje on sam. I baczył, by się nie domyśliła.

- Testujemy broń mającą ocalić Konfederację, a brat bohaterki wojennej mówi o hasaniu na szczudłach. Nie ma co – kobieta położyła dłonie na biodrach. Stała w wyzywającej pozie, mrużąc filuternie oko.

- Nie przedłużasz rodzinnej tradycji co?

Mężczyzna zachnął się i lekko poczerwieniał. Alice dotknęła czulej struny w jego duszy.

- Daphne bohaterstwo ma we krwi, ja chcę po prostu zrobić dla Marsa coś dobrego – jego głos brzmiał jakby się tłumaczył. Budziło w nim dodatkową irytację. Siostra dosłownie uratowała ich głowy przed niespełna dziewięcioma miesiącami, gdy chiński niszczyciel orbitalny omal nie przerobił powierzchni Marsa w atomową pustynię. Czym on mógł się wykazać? Jak wiele zmieniłoby się, gdyby „Thetry”, przy których pracowali z Alice nieprzerwanie od ponad roku, były gotowe? Przy gigantycznej przewodze metropolii – raczej niewiele. W rodzinie Larousse to kobiecie przypadł zaszczyt bycia wojennym bohaterem. Mężczyźni zostali przeznaczeni do bardziej przyziemnych zadań. Wciąż uśmiechnięta Alice pogłaskała go usmoloną od smarów dłonią, brudząc szorstki policzek mężczyzny i mruknęła konfidencko.

- Niech mój Gregory się nie chmurzy tak bardzo. I tak wolę ciebie od siostry. – Cofnęła się na krok, lustrując go wzrokiem, z miną, jakby za dużo powiedziała.

– Ze względu na wiedzę i nie tylko. – Początek dobrze zapowiadającej się dla mężczyzny konwersacji przerwał dźwięk telefonu. Nacisnął przycisk odbioru znajdujący się na wielofunkcyjnej bransolecie. W słuchawce implantowanej tuż za małżowiną uszną rozległ się cichy głos asystentki dyrektora działu technicznego.

- Inżynierze Larousse, ma pan zielone światło do prób zewnętrznych. Dyrektor kazał mi również przekazać, że dziś, około osiemnastej zamelduje się u was oficjalny zespół ze sztabu głównego, aby przyrzeć się bliżej „Thetrom”. – Słuchając przeproszającego tonu asystentki, inżynier westchnął z rezygnacją. To było do przewidzenia. Dyrektor techniczny Zespołu Warsztatów Badawczych „Olympus Mons”, niski i chudy Jorg Manurchin nie potrafił odmawiać. Pół biedy, gdy dotyczyło to kobiet. „Wredny gnom” – złośliwie pomyślał Gregory Larousse, kończąc rozmowę z asystentką zdawkowym podziękowaniem. Jakby miał mało na głowie. Owszem, pierwsze testy maszyn wypadły zachęcająco, ale żeby od razu wzywać naczelne dowództwo? Spodziewał się wizyty wojskowych, ale sądził, że będzie to ktoś ze średniego szczebla, nie generałowie z samej góry. Galopadę myśli przerwał ciepły głos Alice, wpatrującej się w niego z

niepokojem.

- Cóż ci tam takiego powiedzieli? Nie wyglądasz na zachwyconego – słysząc jej głos, jakby się ocknął, wytrącony z zamyślenia.
- Mam dwie wiadomości, dobrą i złą... – zaczął, ale Alice zostawiwszy go w miejscu podbiegła do najbliższej stojącej maszyny. Uchwyciwszy się za szeroką krawędź mechanicznej nogi, niczym mała dziewczynka zatoczyła młynek. W hangarze echem odbiły się jej okrzyki.
- Jedziemy! Jedziemy na zewnątrz! – Gregory patrząc na nią z uśmiechem dodał.
- Dodają nam na kark zespół wojskowych sztabowców – na dźwięk słów mężczyzny, radość Alice gdzieś uleciała. Jej twarz przybrała złośliwy, wredny wyraz.
- Są nam tu potrzebni, jak drzewa w lesie... – syknęła jadownicę. Przeczesała wąską dłonią o długich palcach krótko ścięte blond włosy i rzuciła ze złością.
- Oczywiście będą mieli masę zastrzeżeń, które mogą się zrodzić tylko w mózdkach wojskowych trepów. – Dopiero po chwili się zorientowała, że palnęła gafę i dodała przeproszającym tonem, starając się nie patrzeć w stronę kolegi.
- Oczywiście twoją siostrę uważam za wyjątek, ale resztę... – hangar rozbrzmiewał tonem kobiecej skargi jeszcze długo po otrzymaniu wiadomości od asystentki dyrektora ośrodka.

*

Nad czerwoną powierzchnią Marsa ociężałe wschodziło odległe Słońce. Jego promienie bez trudu przebiły się przez atmosferę. Po burzy pyłowej nie pozostał nawet ślad. Tylko w głębokich kanionach Valles Marineris ciągnęły się długie smugi rzadkich, białych obłoków. Przez niewielką tarczę słoneczną przemknął pojedynczy, czarny punkt zagłębiając się w atmosferę. Prędkość pojazdu musiała być ogromna, bowiem niemal natychmiast uformował się wokół niego długi czarny warkocz dymu. Płomienie sprężanej gwałtownie atmosfery zaczęły się pojawiać coraz intensywniej, osłaniając lądującego gościa przed oczyma postronnego obserwatora. Gdzieś daleko ponad krzywizną globu pojawił się niewielki szary, nieregularny kształt Fobosa. Wokół niego, niczym fajerwerki na Nowy Rok, błyszczały dziesiątki szybko gasnących iskier. Bez wątpienia, wokół niedawno zdobytej kolonii „Aldrin”, przemianowanej przez zdobywców na „Ariadnę” działo się coś niezwykłego.

Glob marsjańskiego księżyca powiększał się z każdą chwilą, gdy nagle, z orbitalnego mroku wyłonił się cały stos poskręcane, wysoce radioaktywnego żelastwa rozpraszającego się powoli w przestrzeni. Bez wątpienia pęd przekraczał znacznie prędkość ucieczki z orbity czerwonej planety. Drugi ze zniszczonych pojazdów zachował się znacznie lepiej. Bez wątpienia dało się rozróżnić oznaczenia Chińskiej Marynarki Wojennej. Uszkodzenia wykluczały odgadnięcie pierwotnych kształtów. Potrzaskany wrak ciągnął za sobą woal z gazów, uciekających ze zniszczonej instalacji. Dwa częściowo zniszczone kadłuby kapsuł ratunkowych, wciąż przymocowane do pojazdu macierzystego, nie pozostawiały złudzeń co do losu załogi. Cmentarzysko znikło w bezmiarze przestrzeni, pozostawiając za sobą jedynie słabe, rozpraszające się z każdą chwilą promieniowanie.

ZAPOWIEDŹ

Opustoszałe korytarze Zespołu Warsztatów Badawczych „Olympus Mons” spowijał mrok i cisza.

Kolonia wybudowana ogromnym nakładem środków, w pobliżu największego odkrytego dotąd źródła geotermalnego na Marsie, była niemal pusta. Od chwili secesji kolonii trzy ziemskie lata wcześniej, największą bolączką rządu Konfederacji Kolonii Marsjańskich było wypełnienie tych korytarzy, które budowano z myślą o intensywnej kolonizacji z wykorzystaniem kalifornijskiej windy orbitalnej. Pierwszeństwo przed „Olympus Mons” miała położona blisko kolonia „Oudemanss” z racji rozbudowanej infrastruktury. Nic więc dziwnego, że po dwudziestej trzeciej, nie szło spotkać tu żywej istoty. Nocną ciszę przerwał naraz jękliwy sygnał alarmu, nie uruchamiany dotąd ani razu. Niósł się przez opustoszałe pomieszczenia warsztatów, wwiercając się pod czaszkę. Pasaż spacerowy, wzdłuż którego umieszczono wejścia kajut mieszkalnych, rozjaśniły panele świetlne. Zamiast łagodnej bieli, tym razem migąły krwistą czerwienią. Drzwi jednej z kajut zasyczały siłownikami hydraulicznymi, uchylając się. Stanął w nich zaspany Gregory Larousse w pstrokatej pidżamie. Mrużył oczy, zdezorientowany feerią barw atakujących jego oczy. Ni stąd ni zowąd, pasaż zmienił się w dyskotekowy parkiet. Tylko tyle że pusty. Mężczyzna dopiero po chwili zauważył drugiego zdezorientowanego lokatora, mieszkającego cztery numery dalej. Wyteżył otępiały od snu umysł. Przypomniawszy sobie po dłuższej chwili. Ten niski chuderlak miał chyba na imię Anton i o ile dobrze kojarzył, pracował w zespole inżynierów-silnikowców.

- Anton! – dopiero drugi okrzyk zwrócił uwagę inżyniera. Odkrzyknął coś niezrozumiale i podszedł bliżej. Nabrał powietrza w płuca i krzyknął.

- WIE PAN... – hałas nagle ucichł i resztę wykrzyczał, zmniejszając z opóźnieniem poziom głośności. - CO się dzieje? – jak na komendę obaj się rozejrzeli.

- Spodziewałem się, że tak będzie – burknął Gregory, ponuro wpatrując się w towarzysza

- Ci cholerni wojskowi nie dadzą się nam tu normalnie wypaść... – Larousse przerwał, dojrawszy biegnącą postać, która wyłoniła się zza węgła. Bez wątpienia wzięła sobie ich na cel, zbliżając się w błyskawicznym tempie. Mundur wskazywał na wojskowego, a naszywki na sierżanta ochrony zespołu sztabowego. Czerwona twarz i rozognione oczy nie powstrzymały Gregorego Larousse od ostrego potraktowania bogu ducha winnego podoficera.

- Czy wam się harcerzu wydaje, że my tu mieszkamy w jakimś cholernym obozie wojskowym? – mimo łudząco niewinnego wyglądu, głos inżyniera nie pozostawiał złudzeń co do jego nastroju.

- Tu mieszkają ludzie, zespół techniczny, którzy nie tłuką pompek co piętnaście minut. Rano potrzebuję uwagi moich pracowników. WYSPANYCH! – podniósł głos i patrząc z góry dodał sarkastycznie.

- My tu chłopcze zajmujemy się prawdziwą pracą i nie mamy czasu na wasze zabawy w wojnę...

- sierżant słuchając tyrady inżyniera, łapał powietrze otwartymi ustami. Dopiero ostatnie zdanie sprawiło, że żołnierz wyprostował się niczym koń dźgnięty ostrogą. Spokojnym tonem weterana odpowiedział, budząc osłupienie obu cywili.

- To wasi wypicowani gogusie muszą znaleźć nieco czasu na te zabawy. Chińczycy przed chwilą wylądowali w naszej okolicy... – pobiegł dalej pozostawiając obu zaskoczonych inżynierów z rozdziawionymi ustami.

*

Wysportowany, wysoki blondyn z dystynkcjami majora, o fryzurze wystrzyżonej krótko jak lądowisko helikoptera stał w postawie zasadniczej, zerkając na drzwi wejściowe do sali konferencyjnej. Na twarzy, wyglądającej na wykutą w marmurze, nie szło odczytać jakiegokolwiek reakcji. Tylko gwałtowne ruchy oczu wskazywał na stan ducha oficera. „Czy ci cywile nie mogą zwlec swoich odwłoków przynajmniej pięć minut szybciej?”. Z ukrytą pogardą spoglądał na zaspany zespół inżynierski, schodzący się powoli, bez pośpiechu. Tylko część z nich wiedziała, dlaczego obudził ich jęk nigdy dotąd nie uruchamianej syreny. Pozostali spoglądali na siebie

zdezorientowani, przedstawiając pstrokatą mieszankę ubiorów, skafandrów, pidżam i szlafroków. „Ależ wojsko mi się trafiło”, oficer skrzywił kąciaki ust w niewzruszonej dotąd twarzy. Dostrzegł skinienie głowy sierżanta, oznaczającego, że większość mieszkańców sektora jest na sali. Poprawił mundur wojsk lądowych konfederacji i stanął naprzeciwko siedzącego audytorium. Cichy szum rozmów natychmiast ucichł. Nim oficer zdążył cokolwiek powiedzieć, wstał niski i korpulentny szatyn. Nieproszony zaczął perorować wysokim tonem, w którym dało się wyczuć nerwowość.

- Panie wojskowy, co to za porządki!? – w głosie wyraźnie pobrzmiwała irytacja – na jutro mój zespół ma zaplanowane próby wytrzymałościowe! Nie mamy czasu na nocne zebrania!

- Co to w ogóle za idiotyczny pomysł konferencji o trzeciej nad ranem! – kolegę po fachu poparł wysoki, chudy jak tyka starszy już mężczyzna.

- Cisza! – twardy, surowy głos wojskowego sprawił, że jego adwersarze zamilkli siadając natychmiast.

- Dla tych, którzy jeszcze nie wiedzą – głos oficera był doskonale słyszalny w całej sali – nazywam się major Dawney Shames. Od pół godziny jestem głównodowodzącym „Olympus Mons”. – Gdy wśród zebranych cywili wszczął się zamęt, major odwrócił się i uruchomił ekran, zajmujący całą ścianę. Pojawiła się na niej satelitarna mapa najbliższej okolicy z odręcznie naniesionymi symbolami i napisami.

- Trzy godziny temu – surowy głos majora uciszył szemrzących – kolonia ET numer czterdzieści dwa padła ofiarą bombardowania nuklearnego z orbity. – Przeróżone spojrzenia inżynierów nie pozostawiały złudzeń co do stanu ich ducha, ale major nie zamierzał ich oszczędzać. Zawsze wychodził z założenia, że nawet najgorszą prawdę trzeba walić prosto między oczy.

- W odwecie nasza placówka na Fobosie zniszczyła dwa chińskie niszczyce orbitalne, które są odpowiedzialne za tą zagładę. Niestety, trzeci okazał się specjalnie przygotowanym lądownikiem. Metodą bezpośredniego wlotu weszli w atmosferę i zdołali wylądować – major odwrócił się przodem do ekranu i ciągnął dalej.

- Jak zapewne zauważyliście, to zdjęcie okolic zespołu warsztatów. Otrzymaliśmy je przed dziesięcioma minutami. Nie namierzylśmy jeszcze miejsca lądowania, ale zaobserwowaliśmy kilka pojazdów gąsienicowych. – Spojrzał na przestraszonych cywili. Po raz pierwszy na jego twarzy pojawił się cień zainteresowania. Wydawało się, że wśród kilkunastu obecnych na zebraniu osób kogoś szuka.

- Jadą w tym kierunku. Zespół obserwacyjny Arsia Mons ocenia prędkość postępową wroga w okolicach trzydziestu kilometrów na godzinę. To daje nam około ośmiu godzin czasu na reakcję. – Major zamilkł i na długą chwilę zapadła cisza. Ktoś osunął się zemdłony na ziemię, kilka osób tępo wpatrywało się w ekran, niebaczne na słowa i szarpnięcia kolegów. Oficer czekał przez dłuższą chwilę obserwując uważnie zachowania niespełna pięćdziesięcioosobowego zespołu. Wśród mężczyzn i kobiet, którzy zachowali zimną krew, czujne oko majora wyłuskało wreszcie twarz Larousse’a. Skinął nań potężną dłonią i inżynier podszedł do podium, przy którym stał oficer.

- O ile się nie mylę, inżynier Gregory Larousse? – ku zdziwieniu cywila, głos oficera miał teraz dobrotliwe, niemal ojcowskie zabarwienie. Odruchowo skinął głową, słuchając dalej słów majora.

- Ma pan cztery godziny na przygotowanie wszystkich trzech maszyn kroczących do walki... – Słyszając te słowa, Larousse otworzył szeroko oczy, zamrugał powiekami, jakby starał się zrozumieć słowa wojskowego. Dopiero po dłuższej chwili stwierdził niepewnym tonem.

- Panie majorze, przecież to niemożliwe... po prostu...nierealne – Gregory zaczął się jękać, szukając w myślach jakichkolwiek argumentów. Głos majora zmienił się diametralnie.

Inżynierowi ścierpła skóra na plecach od suchego, szorstkiego tonu oficera.

- Której części mojego krótkiego wykładu pan nie zrozumiał? Trzydziestu czterech ludzi zginęło kilka godzin temu w największej rafinerii deuteru na tej półkuli. Myśli pan, że tutaj się zawahają? Zresztą to jest rozkaz!

- Mamy tylko trzy osoby, które są w stanie pilotować „Thetry” – inżynier złapał się tej myśli jak ostatniej deski ratunku. Z niepokojem spojrzał w błękitne bezlitosne oczy majora. Wydawało mu się, że wojskowy się uśmiechnął, cedząc słowo za słowem.

- Liczba jest więcej niż wystarczająca. Ja nie zamierzam poprowadzić tego złomu. Tę przyjemność zostawię wam...

SPOTKANIE

Spomiędzy wzgórz, pokrytych wszędobylskim, czerwonym pyłem wyłoniły się kanciaste kształty wozów gąsienicowych. Rdzawe plamy na pancerzu, znakomicie dopasowanych odcieni łososiowych kolorów, doskonale rozmywały kształty pojazdów już z niezbyt dużej odległości. Basowy dźwięk dieslowskich silników zamkniętego cyklu gubił się niewiele dalej. Zbliżały się powoli i wytrwale. Pomiędzy czołgami pojawiły się przysadziste sylwetki we wspomaganych skafandrach ciśnieniowych, również pokrytych kamuflażem. Przyjęty szyk i precyzyjne ruchy zdradzały długoletnie szkolenie. Na burtach czołgów i hełmach żołnierzy widniały ledwie widoczne czerwone gwiazdy, jednoznacznie wskazując przynależność państwową oddziału. W ciągu kilku zaledwie minut znikli w otwierającym się szeroko wejściu do płytkiego kanionu. Gdyby nie kilka wijących się węzowato śladów gąsienic, po obecności żołnierzy Chińskiej Republiki Ludowej nie byłoby najmniejszego śladu.

Zerwał się delikatny wiatr. Słabe poddmuchy podrywały pojedyncze drobiny pyłu, uderzając nimi o łagodne zbocza wzgórz. Przybierał na sile, powoli przeobrażając się w krótką, letnią burzę. Widoczność znacznie spadła. Gdzieś w oddali rozbrzmiał cichy dźwięk turbiny gazowej. Wśród pyłu, zawieszonego w rzadkiej atmosferze, pojawiła się niekształtna, pękata sylwetka ośmiokołowego wszędołazu. Niezależnie zawieszone koła znakomicie radziły sobie z nierównościami gruntu, ale wysokość pojazdu sprawiała, że był on doskonale widoczny ze znacznej odległości. Nie jechał zbyt szybko, trzymając się, jak przyklejony, częściowo zasypanego tropu. Długie wycieraczki bezustannie usuwały nadmiar pyłu gromadzący się na szerokich szybach kokpitu.

Wiatr powoli cichł i zaczęło się przejaśniać. W oddali, pomiędzy poszarpanymi wzgórzami pojawił się ledwie uchwytny rozbłysk. Po chwili drugi. Pojazd zatrzymał się gwałtownie. Na przedniej szybie pojawił się okrągły, niewielki otwór po pocisku, buchający strugą powietrza z kabiny. Kilka kropel krwi zabitego kierowcy spływało powoli wzdłuż wewnętrznych okuć kabiny. Po dłuższej chwili warkot turbiny ucichł, gdy komputer samoczynnie wyłączył grzejący się napęd. Dopiero wtedy przy ośmiokołowcu pojawił się krocący pojazd, wyłoniwszy się z bocznej doliny, niczym prastary olbrzym. Widoczna przez pancerne szyby kokpitu twarz pilota zasępiła się, spoglądając na stojący wszędołaz.

- Tu Larousse – odezwał się przed siebie, włączając łączność satelitarną. Mikrofony umieszczone nad szerokim fotelem wyłapały głos mężczyzny bez trudu.

- Rozpoznanie unieruchomione. Czyli major miał rację – głos Gregorego drżał, gdy dodał znacznie cichszym głosem.

- Nie wygląda na to, aby Chińczycy chcieli brać jeńców. – W głębi duszy, inżynier potwornie się bał. Nigdy w życiu nie myślał, że znajdzie się na linii frontu. Uruchomił napęd i „Thetra” kołyszając się lekko ruszyła, nabierając prędkości. Na głównym wyświetlaczu pojawił się sygnał maszyny nr dwa i trzy. Szły niecałe pięćdziesiąt metrów dalej po obu stronach. Gdy tak obserwował wskaźniki, na myśl przyszła mu siostra i ich ostatnia rozmowa zanim wyjechała do Oudemanss. „Inżynierowie są rzadkością. Będą na ciebie chuchać i dmuchać, oby ci się tylko paznokieć nie złamał”. Wzruszył ramionami i na moment zamknął oczy. „Najwidoczniej major Shames ma inne zdanie niż Daphne Larousse”. Nagły trzask przywrócił mu świadomość chwili. Na bocznej szybie pojawił się wykwit rozgałęzionych pęknięć. Nawet trzy centymetry zbrojonego szkła nie było w stanie wytrzymać trafienia pocisku bez uszkodzeń. Z nagłym przestraszeniem rozejrzał się, wykorzystując skanery. Niemal natychmiast dostrzegł z przodu niewyraźne zarysy sylwetek wroga i, o zgrozo! Dwa kształty przywodzące na myśl czołgi. Od wroga dzieliło go może z pięćset metrów. Niemal w tej samej chwili, w słuchawkach inżyniera rozbrzmiał spokojny i stonowany głos głównodowodzącego majora Shamesa. Oficer obserwując wskazania komputerów całej trójki maszyn doskonale orientował się w sytuacji. Teraz doszedł do wniosku, że czas objąć dowodzenie nad atakiem.

- Żadnej partyzantki panie i panowie. Numer jeden wychodzi na prowadzenie i ściąga na siebie ogień przeciwnika. Dwójka i trójka idą ze skrzydeł. Cel główny czołgi, piechotą zajmie się pluton Havinga, który podchodzi z sektora C. Naprzód! – Na dźwięk ostatniego słowa, Gregory machinalnie przesunął dźwignię przepustnicy do przodu. Dwie turbiny gazowe, znajdujące się pod solidnym pancerzem po obu stronach kokpitu maszyny, zawyły na pełnej mocy. Z przerzedzających się pyłowych chmur wyłoniły się pozostałe dwie „Thetry”. Nawet w rzadkiej atmosferze Marsa słychać było ich wyjące silniki. Na chińskiej pozycji pojawiły się niewielkie, szybko rozpraszające się obłoki. Wokół biegnących niemal czterdzieści kilometrów na godzinę maszyn podniosły się słupy ognia i ziemi, gdy ogień rozpoczęły chińskie czołgi. Idąca przodem Thetra prowadzona przez Gregorego Larousse w pewnym momencie przestała być widoczna, gdy po obu stronach wyrosły wysokie słupy wybuchów. Ogień przeciwnika, o dziwo, ukoił nerwy inżyniera. Ze stoickim spokojem przyjął sypiącą się zewsząd, czerwonoszarą ziemię. Drżenie dłoni trapiące go, odkąd wyruszyli na patrol, znikło jak ręką odjął. Spojrzał przelotnie na długie błękitne paski naładowania głównej broni na wyświetlaczu. Opalizowały słabym, uspokajającym światłem.

Dwa potężne lasery zamontowane na zewnętrznym pancerzu obu turbin napędowych były gotowe do zasypiania przestrzeni przed sobą morderczym ogniem. Już namierzył pierwszy z pojazdów, gdy Thetra niemal zatrzymała się w miejscu trafiona pociskiem czołgowym. Na całe szczęście dla inżyniera, ten był odłamkowy. Zacisnął zęby, nakierowawszy ponownie celownik na słabo widoczny, kanciasty kadłub chińskiego czołgu i nacisnął spust. Gwałtowne wyładowania nadprzewodnikowych kondensatorów wysłały w przestrzeń przed Thetrą dwie potężne wiązki laserowej energii. Jedna uderzyła tuż przed Chińczykiem, zamieniając pył i piasek w zeszkloną taflę. Drugi impuls trafił bezpośrednio w przedni pancerz przepalając go na wylot. Przez powstały otwór trysnął strumień powietrza, natychmiast zapalając się od temperatury. Chińska załoga odpowiedziała ogniem, ale nie miała najmniejszych szans. Kolejne strzały, znacznie lepiej wycelowane, zamieniły czołg w sito. W samotną Thetrę zaczęły uderzać pociski z broni ręcznej piechoty, kryjącej się za kamiennymi załomami. W kokpicie Larousse’a rozbrzmiały sygnały alarmów.

Spadało ciśnienie w hydraulice. Mimo to, inżynier nie zwalniał nawet na moment, wiedząc, że

tylko w prędkości leży jego ocalenie. Gdy był niespełna dwieście metrów od wrogiej linii, huk wybuchu ogłuszył go. Z prawej turbiny dobywał się dym i ogień. Celny pocisk przeciwnika przebił prawą konsolę napędową na wylot. Natychmiast wyłączył uszkodzony silnik. Prędkość spadła o połowę. Wtedy usłyszał coś, co zabrzmiało jak najpiękniejsza muzyka. Chropowaty, złośliwy chichot Alice w odbiorniku łączności bezpośredniej. Jej maszyna, wyłoniwszy się zza niskiego grzbietu zasypywała zaskoczonych Chińczyków z obu dział laserowych i karabinu maszynowego, zamontowanego w ostatniej chwili bezpośrednio pod kokpitem.

Z drugiej strony dzielnie sekundowała jej ostatnia, trzecia Thetra prowadzona przez milkliwego zazwyczaj Ferthena. W bojowych wrzaskach jakie teraz wydawał, Larousse nie był w stanie rozpoznać niskiego, chudego mężczyzny o rzadziejących włosach - znakomitego matematyka, chorobliwie nieśmiałego wobec kobiet. Teraz wychodziło z niego prawdziwe zwierzę. Silny ogień obu maszyn zmasakrował zaskoczonego przeciwnika. Drugi czołg nie miał szans otworzyć ognia. Trafiony kilkakrotnie w przedział silnikowy, zapłonął krótkim płomieniem, który zaraz przygasł, gdy wyczerpał się tlen z przedziału załogowego. Pojedynczy chiński żołnierz próbował ogniem karabinów odwrócić uwagę pilotów trzydziestotonowych monstrów, do zaprzestania masakry. Dziesięciomilimetrowe pociski broni ręcznej nie były w stanie przebić wzmocnionego tytanowego pancerza, rykoszetując widowiskowo na wszystkie strony.

Gdy nadszedł pluton marsjańskiej piechoty, prowadzony przez porucznika Havinga, zastał jedynie popalone ciała chińskich żołnierzy i osmolone wraki czołgów. Debiut nowych maszyn bojowych konfederacji był porażająco skuteczny. Marsjańscy koloniści, których jedynie konieczność zmusiła do przedzierzgnięcia się w żołnierzy, z chorobliwą fascynacją spoglądali na zabitych rozrzuconych wokół głównej linii oporu. Słabe ciśnienie atmosfery i niska temperatura już zaczęły konserwować zwłoki. Można było tylko mieć nadzieję, że najbliższa burza pyłowa litościwie przykryje miejsce masakry.

- Znaleźliśmy ślady gąsienic. Skorelujcie je z danymi satelitarnymi – w słuchawkach członków zespołu bojowego rozbrzmiał przytłumiony, suchy głos Havinga. Porucznik chwilę manipulował przy panelu łączności. Uruchomiwszy indywidualne, szyfrowane łącze z dowództwem odezwał się chrapliwym tonem, w którym pobrzmiwało rozdrażnienie.

- Dawney to są rzeźnicy. Żółci nie mieli żadnych szans – konspiracyjny szept porucznika dowodzącego piechotą, dobiegający z prywatnego kanału, wzbudził lekki uśmiech majora Shamesa. Nie przerywał podwładnemu, gdy ten monologował dalej.

- Te maszyny to prawdziwe szatkonnice. W trójkę roznieśli co najmniej pluton zmechanizowany. Zdążyliśmy akurat, żeby posprzątać... – major wykorzystał chwilę, gdy Having zrobił dramatyczną przerwę nabierając powietrza, aby zapytać całkowicie spokojnym, chłodnym tonem.

- Co ze śladami? U nas na konsolce wskazują wyraźnie na południowy wschód. Może dopadniemy drugi oddział bojowy? Obserwatorium na Arsia Mons raportowało, że lądownik miał co najmniej pięćdziesiąt metrów średnicy. Może zmieścić sporo sprzętu... – Na zapytanie przełożonego porucznik nic nie odpowiedział. Na moment zapadła cisza. Do uszu ludzi zebranych w sali dowodzenia dobiegł stłumiony łoskot strzałów, przekazywany za pośrednictwem mikrofonów Havinga.

- Poruczniku? – ton majora nabrał twardości stali. W głośniku panowała cisza, w którą naraz wdarł się podniecony głos dowódcy plutonu żołnierzy, nadającego na kanale ogólnym.

- Kilku się schowało.... – znów zaklekotała seria, w rozrzedzonej atmosferze Marsa brzęcząca jak odgłos starego diesla.

- Ok. Majorze, melduję pojmanie ośmiu jeńców – z satysfakcją zameldował porucznik – wysyłam ich pod eskortą i ruszamy dalej po śladach...

FINAŁ

Szeroki, obły kształt chińskiego lądownika atmosferycznego srebrzył się pośrodku starego krateru o poszarpanych ścianach. Ostre brzegi pojazdu poczerśniły ślady kopcia, powstałego podczas przejścia przez atmosferę. Przy uchylonej rampie stał pojedynczy czołg. Z bocznych rur wydechowych, krytych siatką, wydobywały się kłęby gęstego, czarnego dymu. Świadczyły o nie najlepszej kondycji silnika. Niemrawe próby ruszenia ciężkiego pojazdu z miejsca nie przynosiły rezultatów. Wnosząc jednak z gorączkowych działań kilku osób w lekkich skafandrach, krążących wokół pojazdu, można było odnieść wrażenie, że zbliża się niebezpieczeństwo. W pewnym momencie postaci znikły, kryjąc się we wnętrzu lądownika a chwilę później na wieńcu krateru, pojawiła się sylwetka Thetry, o której zdołał zareportować pluton rozpoznawczy. Czołg natychmiast skierował potężną lufę stu pięćdziesięciomilimetrowego działu w stronę nadchodzącego zagrożenia. Błysnął wybuch, obsypując nadbiegającą maszynę grudami marsjańskiej zmarzliny. Za nią pojawiły się kolejne dwie maszyny i kilkanaście mniejszych postaci widocznych na tle nieba. Marsjańscy żołnierze zeskakiwali błyskawicznie w dół, za sprawą doskonałego kamuflażu niknąc z oczu załodze lądownika.

Gregory widział przed sobą oddalające się maszyny Alice i Ferthena. Dysponując pełną mocą obu silników, oboje wysforowali się do przodu, zostawiając za plecami nie tylko uszkodzoną Thetrę, ale również zespół piechoty. Pluton nie był w stanie dogonić rozgrzanych walką pilotów. Błysnęły pierwsze strzały z laserowych dział, wypalając dziury w poszyciu i topiąc jedno z kół napinających nieruchomego czołgu. Larousse z niesmakiem pomyślał, że zachłanni koledzy nie pozostawiają dlań nic. I wtedy celny pocisk z chińskiej armaty zatrzymał pierwszą Thetrę w skoku. Zaniepokojony inżynier widział rozsypujące się strzępy pancerza, tnące rzadkie powietrze groteskowym torami lotu we wszystkich kierunkach. Zbliżał się powoli z prawej strony, zapomniawszy na moment całkowicie o toczącym się wokół boju.

Na całe szczęście pilot ostatniej maszyny, nie zwracając na nic uwagi wpakował w chiński wóz trzy laserowe salwy podpalając wroga i zażegnując w ten sposób niebezpieczeństwo. Gregory zaciskając zęby aż do bólu obserwował wyłaniające się zza kanciastych osłon turbiny resztki kokpitu, trafionego bezpośrednio przeciwpancernym pociskiem. Nikła nadzieja, tłąca się dotąd w sercu mężczyzny, zgasła całkowicie. W oczach Larousse'a pojawiły się łzy. Na górnej osłonie wraku widział rdzawe plamy krwi. Wszystko, co pozostało z Alice Garres. W jednej chwili wojna zabrała mu wszystko. Nie chciał brać w niej udziału. Bronił się przed nią, dowodząc, że „cywilizowane istoty zawsze będą mogły się porozumieć za pomocą słów”. Odwrócił wzrok od zakrwawionego, rozbitego kokpitu. Zatrzymał maszynę w pół kroku i ukrył twarz w dłoniach.

Jak przez mgłę widział biegnące sylwetki marsjańskich żołnierzy wdzierających się na pokład lądownika. W głośnikach brzmiały rozedrgane głosy, nerwowe meldunki, krzyki rannych i ginących żołnierzy. Nic nie robiło wrażenia na Gregorym Larousse. Zdał sobie sprawę, jak wiele utracił za sprawą jednego, jedyne pocisku. Długo po tym, jak zapadła cisza, usłyszał stukanie w przednią szybę i ocknął się. Na przedniej szybie kokpitu dostrzegł zaniepokojoną postać porucznika Havinga, wpatrującego się z uwagą w inżyniera. Coś krzyczał. Gregory dopiero po dłuższej chwili zrozumiał słowa żołnierza, dobiegające ze słuchawek.

- Larousse, żyjesz? – machinalnie kiwnął głową, budząc wybuch okrzyków radości.

- Żyje majorze, zatem straciliśmy tylko jedną Thetrę i jednego pilota. – Dalsza część meldunku, dotycząca oddziału porucznika umknął inżynierowi. Gdzieś jakby z oddali, rozległ się przytłumiony głos majora Shmesa, w którym dało się wyczuć nutę zadowolenia.

- Czwarty pluton pojawi się na perymetrze za pół godziny i zabezpieczy zdobycze...

Na ogólnym kanale rozległ się śmiech jakiegoś podoficera. Napięcie podczas walki zaczęło schodzić, wraz z okrzykami, spośród których wyłonił się potężny bas sierżanta.

- Chińczycy może i budują największe gwiazdoloty na świecie, ale Mars uczy pokory jak nikt inny!!! – odpowiedział mu chór żołnierskich okrzyków. Najwidoczniej krótkie, zacięte starcie nie wywarło na nich takiego wrażenia jak na inżynierze. Larousse z gniewem spoglądał na zebranych przed lądowikiem żołnierzy i kilku jeńców, którzy przetrwali starcie. Nagle poczuł nieodpartą potrzebę zemsty, zniszczenia ludzi odpowiedzialnych za jego tragedię. Dłonie, wciąż oparte na dźwigniach sterujących zdrząły. Mięśnie napięły się i wtedy na prywatnym, szyfrowanym kanale rozległ się nadspodziewanie ciepły głos majora.

- Larousse, widziałem co się stało. I jest mi cholernie przykro...

KONIEC

SPIS TREŚCI

[#prolog](#)

[#kolonia](#)

[#zapowiedz](#)

[#spotkanie](#)

[#final](#)

Zapraszam gorąco na swoją stronę, gdzie dla czytelników dostępne są dodatkowe materiały, opowiadania oraz informacje o najnowszych pozycjach wydawniczych.

www.tomaszbiedrzycki.pl

Jelenia Góra 2013

ISBN 978-83-934329-9-8

Książki sagi Origo Stellaris:

[Operacja Thor](#)

[Trylogia Alfa Centauri](#)

- [Incydent na Rigil Prime](#)
- [Rigil Prime w ogniu, tom I](#)
- [Rigil Prime w ogniu, tom II](#)

Zapraszam serdecznie

Tomasz Biedrzycki